

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXI

WARSZAWA, DNIA 13 LIPCA 1929 ROKU

NR. 27

JERZY OSTROWSKI

11)

J A Z O N E J A

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

Pracował teraz jeszcze mniej, niż inni. Albo siedział na fazendzie, albo włóczył się z Lazarem, albo pił „szimaron” u Affonsa, z którym na nowo zrobiła się wielka przyjaźń.

Cmokali powoli zielony ukrop o stęchłej woni ziółek i podawali sobie kolejno tykwę, jak fajkę po koju, aż któremuś zachciało się mówić. Wtedy inni spokojnie słuchali, lub przytwardzali krótko: „é”.

Najwięcej gadał Affonso. I zawsze o interesach, albo o grze.

— Czy wy wiecie — perorował — co to jest gra w „bicho”? To jest wspaniała gra. Krótko mówiąc — loterja: stawiacie na jakieś zwierzę (każde ma numer) i czekacie Losu. Trzeba — ma się rozumieć — grać mądrze, wróżyć. Jednemu kupcowi śniła się „onça” — tygrys, a właściwie jego żonie. Postawił grubo i zrobił się milionerem. Trzeba tylko dobrze trafić. Kiedy byłem w mieście, zawsze prowadziłem notatki, które zwierzę ile razy wyszło, ale teraz, tutaj...

Affonso machnął ręką. Po chwili znów ożywił się:

— A znacie grę „Cachola”?

Lazaro i kilku innych znało, Cobus — nie. Wykopali więc dołek, ustawili patyczek, jako dźwignię i kładąc na jednym końcu jakiś drobny miedziak, uderzali w drugi koniec. Była to gra w „orła i reszkę”, ale obstawiona niektórymi jeszcze przepisami. Wszyscy przykucnęli i z zainteresowaniem śledzili mały pieniążek. Affonso stale wygrywał. Przed uderzeniem zadzierał głowę, czekając na natchnienie, a potem obwieszczał nagle i stanowczo:

— Cyfra! albo:

— Osoba!

Najwięcej przegrał Cobus, który grał bez żadnego „systemu” i jakby naprzekór losowi. Przegrana ta usposobiła do niego bardzo życzliwie Affonsa. Powiedział zresztą uspokajająco:

— Właściwie to grać trzeba inaczej. Grać trzeba jednym pieniążkiem, a stawiać na niego różne sumy. Można nawet bardzo duże. Wtedy oczywiście ma się szanse. Ja tak kiedyś wygrałem „conto”.

Niebardzo mu wierzyli, ale zdziwili się uprzejmie:

— Puxa! Barbaridade!

W tym przychylnym nastroju Affonso trwał kilka dni, w trakcie których pojechał nawet na lot Cobusa. Łazili tam dość długo i wbijali jakieś paliki.

Kiedy wracali stamtąd, Affonso gadał już całkiem otwarcie:

— Pan rozumie, ja jestem człowiek zależny: kazali mi wyznaczyć panu ten lot, więc wyznaczyłem, choć oczywiście trochę to nieładnie. Ale jeżeli dzicy się uspokoją — będzie pan na czysto wygrany. Pański lot jest grubo większy teraz, niż inne; styka się z jednej strony z fazendą...

— Z fazendą? — poruszył się nagle Cobus.

— Tak — odpowiedział z wahaniem Affonso. — Bo ziemie Fabricia zachodzą łukiem i...

Cobus już zresztą nie słuchał, myślał nad czymś i nie zauważył nawet, że Affonso wyklada mu nieoczekiwany i zupełnie pewny system gry w „bicho”.

Na drugi dzień, kiedy Cobus wyprowadzał swego muła przez bramę — spotkał się ze starym Szukiem.

— Ja do ciebie. Chciałbym zobaczyć, jak tu i co. Dawno nie byłem.

— Zachodźcie — powiedział Cobus.

— Jechałeś gdzie?

— Iii... tak, tam.

Przeszli przez bramę, która sama zamknęła się za nimi natychmiast.

— Co to? Sama się zamyka? — zdziwił się stary.

— Uhm — uśmiechnął się pod wąsem Cobus. — Takie urządzenie zrobiłem: kółko z drzewa i kamień.

— No, no! Powiadali, żeś już machnął ręką na gospodarstwo.

— Jeszcze to będzie pierwsze gospodarstwo w kolonji — porywczo powiedział Cobus. — Chodźcie to wam jeszcze inne rzeczy pokażę.

Uwiązał muła i oprowadzał starego.

— To stępa wodna! — objaśniał z dumą. — Woda jest odprowadzona tym korytkiem, a tu jest taki kloc. Jak z jednej strony wody się nabierze w tę łyżkę — to kloc się przeważa. Jak się kloc przeważa — to woda się wyleje i kloc opadnie, a ma z drugiej strony tłuczek co wchodzi w stępe. I tłucze.

Patrzył na starego, czy dość się zachwycą.

— A tu mam kładkę do podnoszenia przez rzekę. Jakby co — to można podnieść i z tej strony nikt nie podejdzie.

— Sprytnyś... A ta kładka to niby... względem tych dzikich?

— A no, jakby się zdarzyło.

Szuk kręcił głową.

— A czemuż domu nie budujesz?

— Dobrze mi w „rancho”! — powiedział ostro Cobus i umilkł.

Popatrzył jeszcze stary na pole, na mały ogródek, przy „rancho” i zaczął się żegnać.

— Zachodź przecie.

— Dziękuję. Wpadnę przy okazji.

Stary poszedł w stronę kolonji, a Cobus czekał oparty na mule aż zniknie na zakręcie. Potem ruszył tą samą drogą, kiedy zobaczył Messla, skręcającego z drogi w stronę domu Szuków. Zatrzymał się chwilę i naraz zawrócił muła w tę samą stronę. Messel był jeszcze na podwórku, kiedy wjechał tam Cobus i rzucił mu wesołe pozdrowienie. Złazł potem z muła i przyglądał się z rękoma w kieszeniach, konikowi Messla. Ten czuł się nieco urażony tą inspekcją:

— A pan... pan woli osła — wyjąkał złośliwie.

— Ajakże — potwierdził kpiąco Cobus. — Ja wolę osła, niż psa.

I przechodząc, pociągnął w bok konika za wysoką barierkę siodła miejscowego. Koń zatoczył się i mało nie przewrócił. Kwiknął więc złośliwie i wierzgnął bez przekonania.

— Nie ruszcie konia! — zabelkotał czerwony Messel.

— Bo małam się o niego nie potknąć...

Weszli razem do chaty. Szukowa przywitała Messla życzliwie i z wyróżnieniem. Do Cobusa zaś ledwie bąknęła coś niewyraźnego. Zato Weronka zacierwieniła się sowiec, podając mu niezgrabnie rękę, którą przetrzymał żartobliwie i miał już coś wesołego na języku, kiedy wpadł mu w oczy Mundego, leżący koło ognia. Puścił więc rękę dziewczyny i kucnął przy psie. Przysiadł się do niego i mały, ośmioletni Stasiek.

— Wygoił się — poinformował Cobusa z poważnym westchnieniem.

— Ino berny ma — podobnie odpowiedział Cobus.

— A co to „berny”?

— To te robaki pod skórą.

— A czy one jego boją?

— Pewnie.

— Franek!

— No?

— A tyś widział dzikich?

— Nie. A bo co?

— A oni mają „faczki”?

— Kto ich wie! Ale chyba nie.

— Bo mnie tatko obiecał kupić faczek i nie kupił...

— Kupi... A dzikie to mają łuki. Wiesz, co to?

— Nie...

— To ci zrobię taki.

Cobus wyszedł z małym na dwór, nie widząc wlepionych w siebie cały czas oczu dziewczyny.

— Za-awsze bzik! kiwnął w jego stronę Messel.

— At! — machnęła ręką Szukowa. — Dobra z niego nie będzie. Niby robi na swoim, ale tak tylko... kiedy mu się uwidzi. Czy to on chłop, jak inni? Czy to on da jeść kobiecie, albo dzieckom? Wiatr i tyle.

— Ba-ardzo odpowiednio! — pochwalił Messel. — Faktycznie, że niesolidny i nieodpowiedzialny.

— A jak panu idzie?

— Pójdzie, pójdzie... „Wendę” otwieram.

— A toć słyszałam.

W tej chwili rozległ się stuk silny w ścianę tuż koło nich.

— Tera ja! Tera ja! — krzyczał Stasiek.

Szukowa wyrzała z pasją i nie wytrzymała:

— Wstydiłbyś się, Franek! Stary chłop, a bawi się z dzieciakami, jak głupi! Jeszcze dzieciak sobie oczy wykole!

Cobus śmiał się szeroko, ale po chwili wrócił do izby.

— No, Weronka, nie boisz się dzikich? Może ci się już jaki przyśnił w nocy, he? U mnie choć w „rancho” a bezpieczniej. Jak będziesz się bała — to uciekaj do mnie.

— Też! bajasz byle co! — odpowiedziała czerwona.

Messel żuł coś w ustach, ale nie mówił nic. Po chwili wstał:

— Mam jeszcze interesy... Pojadę.

Cobus został chwilę po jego wyjeździe, a potem się podniósł:

— No, czas i na mnie.

— Nie ostaniesz-to? — cicho zapytała Weronka.

— Mam tam swoje sprawy — odpowiedział nieuważnie. Pożegnał się bylejak i poszedł do muła. Stasiek kręcił się koło niego i przyglądał się żarliwie. Wreszcie podniósł główkę do góry i po chwilowym wahaniu:

— Franek!

— A co?

— Podwieź mnie...

— Widzicie go! A matka cię nie zbije? — roześmiał się Cobus.

— Ja ucieknę! — zapewnił z przechwałką Stasiek i gramolił się już po nodze Cobusa na siodło.

Za bramą, Cobus uśmiechnął się kpiąco do siebie i zagwizdał coś energicznie. Popędził też muła, który wpadł w swój zwykły skroc. Po chwili wjechał na główną ulicę kolonji i dojrawszy gromadkę chłopaków, podjechał do niej:

— Como vae, panowie! — rzucił niedbale.

Niebardzo mu tam odpowiedzieli. Rozsunęli się trochę, bojąc się złośliwości muła, a któryś zapytał przesadnie uprzejmie:

— Do czarnego jedziesz?

— Lepszy czarny — mądry, jak rudy — głupi! — bryzgnął Cobus, dojrawszy w gromadce tego, co mówił.

— Nie dopytujcie go! — godził niby drugi. — Jak u niego służy, to musi mu świadczyć...

— Służysz to ty, boś u ojca za parobka! — warknął Cobus. — A ja u siebie pan, wiesz?

— To pilnuj swego! — mruknął któryś.

Stali naprzeciw siebie i mierzyli się oczami, gdy podszedł Watras:

— Cobus, jak się masz? — rzucił życzliwie. — Nie zjadły cię jeszcze „dziki”?

— Jeszcze mam Shmita! — buńczucznie odrzucił Cobus.

— No, to chodź do Messla, ma już „cachas” — wypijemy!

— No, to chodźcie wszyscy! odpowiedział Cobus. — Ja stawiam.

Mruczeli coś niewyraźnie, ale pokusa była silna — poszli. Messla nie było; urzędował jego syn, wyrostek jakający się podobnie, tylko o wiele mniej mówiący. Podał im, milcząc ponuro szklaneczki i nalewał nie patrząc.

— Żeby nam się dobrze działo.

— I wam!

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

Przerwał, napił się wina, a następnie mówił dalej.

— Doprawdy, nie miałbym nic przeciwko temu, ażeby powieszono tego potwora. Jest postrachem całej okolicy.

— Dusiciel — szepnęła Wirginja.

— Jak w jakiejś sensacyjnej powieści — dodał Lorne.

— Niestety nie jest to powieść — odparł hrabia Aranyi.

Rozmowa przeszła na inny temat.

Po śniadaniu Klaudjusz podszedł do Wirginji. Usiedli w kącie salonu. Klaudjusz czynił ostatnią próbę przekonania jej, by mu nie towarzyszyła w nocnej wyprawie.

— Wirginjo, musimy przejść przez cały las — rzekł poważnym tonem. — Wczorajszy mój spacer trwał godzinę. Przy świetle dziennym, idzie się znacznie szybciej niż w nocy. Napewno potrwa ta wycieczka dwie, a może trzy godziny. Droga jest straszna. Czujesz się na siłach, Wirginjo? Nie przeraża cię nocna wyprawa pośród śniegów?

— Nic mnie nie przeraża, miły chłopcze — uśmiechnęła się Wirginja. — Ważę sześćdziesiąt trzy kila, jestem silna i zdrowa. Ale, powiem ci jedno: gdybym była nawet taką kaleką, o jakiej mówił hrabia Aranyi, to nie cofnęłabym się przed naszą wyprawą. Nic nie odwieǳie mnie od mojego postanowienia. Razem pójdziemy!

Odwaǳa imponuje zawsze Anglosasowi. Podczas gdy Wirginja mówiła, oczy Klaudjusza Lorny, jęły nabierać wyrazu zachwytu. Lecz, jak przystało na prawdziwego Anglika, nie wyraził swego zachwytu natychmiast.

— Najgorszą rzeczą — odezwał się żartobliwie — jest twój upór miss Ameryko!

— Jestem uparta!

— Wiesz, co myślę w tej chwili?

— Nie wiem, i nie domyślam się.

— Że pragnąłbym znajdować się na miejscu Godfrey'a.

Sami byli w salonie. Z radosnym uśmiechem nachyliła się Wirginja nad Klaudjuszem i ucałowała go w oba policzki lecz zanim oszołomiony młodzieniec przyszedł do siebie, wybiegła z salonu.

Panna Fitz Gerald udała się do swego pokoju, ażeby przebrać się w strój, odpowiedni do nocnej wyprawy pod biegun...

Lecz, kiedy już stanęła przed lustrem w wełnianym berecie, ciepłym kostjumie do polowania, zawahała się. Rozejrzała się po ciepłym pokoju, urządzonego wygodnie i przytulnie — — — W tym momencie rozum wypowiedział walkę uczuciu. Mądry doradca pokazał jej ogień na kominku, śliczną toaletę, na której stały piękne flakony oprowne w srebro, głęboki fotel przy niskim stolczku z lampą — na stole leżały ostatnie powieści, najlepszych autorów francuskich — łóżko, wygodne i miękkie.

Zapadał zmierzch i z okien pokoju, park robił wrażenie tajemniczych dekoracji, na których tle, miały rozegrać się dziwne sceny. Ta wycieczka wgłęb lasu, zasypanego śniegiem, była doprawdy szaleństwem!

Co mogło wyniknąć z tego? — pytał rozum. Jaki był cel tej przygody?

Lecz pomyślała o Godfreyu, swoim Godfreyu, który po przyjeździe na przystanek kolejowy, stanie pośród tej ciemnej nocy, sam przeciw tragicznemu, być może, losowi. Mogło go tej nocy spotkać najgorsze!

Wyszła więc z pokoju, pozostawiając w nim rozum, przy wesoło płonącym ogniu. Za towarzysza przygody, wzięła uczucie, i pod jego osłoną pobiegła, ku nieznanemu...

XIV.

MĘCZYŻNA, KTÓRY CZEKAŁ NA POCIĄG.

— Jeszcze pięć minut!

Te słowa, wypowiedziane półgłosem przez Klaudjusza, dotarły do uszu Wirginji poprzez śnieżną wichurę. Nie mogła go dostrzec, gdyż ciemności tej nocy zimowej, były nieprzeniknione.

O godzinie trzeciej minut dziesięć, Orient express miał znaleźć się na nasypie granitowym, o sto metrów od stosu chróstu, w którym ukryli się.

Klaudjusz zauważył ten stos, w czasie swojej południowej wycieczki, wydrążył w nim coś w rodzaju dołu, ażeby Wirginja mogła się schronić przed ostrem zimnem nocy.

Nalegał też, by obydwójce pozostali w ukryciu, aż do ostatej chwili; usłyszawszy hałas nadjeżdżającego pociągu mieli opuścić swoje kryjówki.

Klaudjusz znalazł o dwadzieścia kroków, od dwieście dwudziestego czwartego kilometru gęsty krzak; stąd mogli obserwować co się stanie, gdy pociąg zatrzyma się.

Powietrze było suche i mroźne, lecz Wirginji zimno nie dokuczało. Czuliła niezmierną wdzięczność dla Klaudjusza, za jego przezorność. Lorne wziął z sobą termos z wrzącą kawą i kanapki, a po męczącym i długim spacerze, po śliskich dróżkach leśnych, łyk kawy i bułka wzmocniły ją.

Lorne zjawił się na chwilę, napił się kawy, wziął kilka kanapek i odszedł.

— Moje miejsce jest zewnątrz — rzekł — stamtąd będę mógł lepiej widzieć pociąg i Godfrey'a.

Wszystko się odbyło według z góry ułożonego planu: Klaudjusz zainscenizował pęknięcie opony na przedmieściach Wolfsbadu i to w pobliżu garażu (miał więc świadków mechaników). Wirginję bawiło to, kpiła nawet z Klaudjusza, lecz młody człowiek odrzekł jej poważnie, iż idzie tu o opinię panny Fitz Gerald, i że należy mieć jak najwięcej świadków, gdyż noc spędzona przez nich, poza pałacem hrabiego Aranyi, wywoła dużo komentarzy.

O zepsuciu samochodu powiadomiono telefonicznie, hrabiego Hektora.

Po obiedzie, który zjedli w hotelu, Klaudjusz wrócił do garażu i niby „Deus ex machina” i naprawił maszynę. Samochód stał teraz u skraju lasu, pod wielkim drzewem.

Bezwzględna cisza panowała w lesie. Śnieg tłumił wszelkie odgłosy.

Zaledwie dwanaście godzin temu Wirginja tańczyła z Klaudjuszem, przy dźwiękach murzyńskich melodii, na pięknej błyszczącej posadzce halli w pa-

łacu hrabiego Hektora... Miała w tej chwili wrażenie, że przeniosła się na inną planetę.

Pijąc z wolna kawę, nadśluchiwała. Nadśluchiwała... Od chwili, gdy zapuścili się w gąszcz leśny, nie przestali, ani na sekundę nadśluchiwać. Lecz nie słyszeli nic, prócz skrzypienia śniegu pod swoimi stopami i przyspieszonego oddechu, w miarę jak droga stawała się cięższa. Nie widzieli po drodze żadnego domostwa i tylko na jednym rozdrożu, gdzie Klaudjusz zapalił lampkę elektryczną, by zorjentować się, którą ścieżką powinni iść, ujrzeli wśród drzew, jakiś dach.

Wirginja, nie doznawała w tej chwili żadnego uczucia lęku. Nie bała się o siebie. Nie mniej drżała na myśl, co przyniesie jej następna minuta. Co uczyni, jeżeli Godfrey nie będzie czekać na pociąg?

Wtem pośród ciszy nocnej dosłyszała daleki, niewyraźny szmer. Początkowo był bardzo cichy, ale stopniowo jął wzmacniać się. Wypreżyła się. Tak... to nadjeżdżał pociąg. Przed nią, wyrosła, nagle postać Klaudjusza.

— Pociąg! — szepnęła!

Wyszła ze swego ukrycia. Mróz ogarnął ją lodowym uściskiem. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, uderzając ją po twarzy.

Oszołomiona, zadyszana, pochyliła głowę, walcząc z wichrem, który pchał ją w odwrotnym kierunku.

Klaudjusz ujął ją pod ramię i prowadził. Szła z zamkniętymi powiekami, gdyż śnieg sypał prosto w oczy. Z trudem posuwała się naprzód. Stukot nadjeżdżającego pociągu stawał się coraz doniośniejszy.

W pobliżu drogi kolei żelaznej, drzewa były mniej liczne. Wirginja i Klaudjusz stąpali po puszystym kobiercu śniegu; żaden odgłos nie zdradzał ich. Niewyraźne światło wskazywało miejsce, gdzie przechodziły szyny.

Zatrzymali się za krzakiem, opodal dwieście dwudziestego czwartego kilometru i czekali w najwyższym napięciu nerwów.

Wtem Wirginji zdało się, iż serce jej przestało bić. Ujrzała zbliżające się i rosnące czerwone światło, usłyszała donośny hałas nadjeżdżającego pociągu. Lecz nie zwracała w tej chwili uwagi na express, gdyż spoglądała na wysoką ciemną postać. Niedaleko szyn stał mężczyzna tak nieruchomo, iż początkowo Wirginja przypuszczała, że jest to drzewo. Dopiero, gdy oczy jej przyzwyczaiły się do nowego oświetlenia, zauważyła mężczyznę, otulonego w futro i w czapie futrzanej na głowie. Wygląd tego człowieka zgadzał się najzupełniej z opisem Klaudjusza. Noc była zbyt ciemna, ażeby Wirginja mogła odróżnić jego rysy, ale nie wątpiła, iż ujrzy z tego miejsca w którym stała, tę drogą twarz gdy z wewnątrz pociągu padnie na nią światło.

W pierwszej chwili chciała podbiec do Godfreya, lecz Klaudjusz zatrzymał ją, ściskając za ramię. Przypomniała sobie iż postanowili przemówić do Godfreya, dopiero wtedy, gdy spełni misję, jaką przywiodła go, na ten posterunek.

Młoda dziewczyna zacisnęła kurczowo ręce i wpatrywała się w nieruchomą postać.

U ich stóp szyny drżały i rozlegał się przeraźliwy hałas, olbrzymiego pociągu. Światła lokomotywy rozrywały ciemności. Zgrzytnęły koła, zasyczała para i Orient Express zatrzymał się.

Nieruchomy mężczyzna nabrał nagle życia. Zbliżył się o kilka kroków i przystanął. Nie dostrzegła

Wirginja jego twarzy, gdyż pochyłona głowa znajdowała się, poza obrębem światła padających z wozów.

Wirginja uniosła wzrok. Stała tuż pod oknami pociągu.

I znowu zapanowała niezmacona cisza. Zdawało się, że pociąg usnął. Śnieg padał nieustannie.

Wtem Wirginja usłyszała wyraźny odgłos opuszczanej szyby. Odemknęły się cicho drzwi. Przetarła oczy pełne śniegu i ujrzała, jak drzwi wozu, znajdującego się nawprost niej, otworzyły się... zamajaczyła jakaś postać i wychyliła się.

W tej samej chwili zgrzytnęły koła i pociąg ruszył.

Mężczyzna w futrzanej czapie podszedł stanowczym krokiem do pociągu i czekał. Znowu Wirginja nie mogła rozpoznać rysów jego twarzy, gdyż stał z głową odwróconą.

— Ta czapa futrzana, dziwnie go zmienia — pomyślała Wirginja — wydaje mi się jeszcze wyższy i szczuplejszy.

Ciężki worek zręcznie rzucony z pociągu upadł ze zgłuszonym hałasem na śnieg. Jednocześnie zatrzasnęły się drzwi. Wielki sznur jaskrawo oświetlonych wozów przejechał obok słupa z napisem 224. Mężczyzna stojący przy szynach odwrócił głowę. Na jego twarz padł blask z okien Orient Expressu.

Nie był to Godfrey Cairsdale.

Był to von Bartzen!

Wirginja wydała lekki okrzyk i zwróciła się w stronę, gdzie stał Klaudjusz... Lecz Klaudjusz zniknął.

XV.

DOM W LESIE.

Gdy pociąg oddalił się, las pograżył się na nowo w ciemnościach. Ucichł hałas odjeżdżającego expressu, i zapanowała cisza.

Wirginja usłyszała skrzypienie śniegu pod ciężkimi butami...

Znowu zaległo głucho milczenie mroźnej nocy.

Wirginja była przerażona. Co się stało z Klaudjuszem?

Jeszcze przed chwilą stał obok niej i trzymał ją za ramię. A teraz odszedł, zniknął nagle, wśród tych okropnych ciemności. Co się z nim stało?

Co się stało z Godfreyem? Dlaczego von Bartzen zajął jego miejsce.

I co się stało z wszystkimi planami Wirginji! Była w tej chwili bez sił, bez myśli, bez odwagi. Ona — która przysięgła sobie, że w chwili, gdy zajdzie potrzeba, będzie działać — pozwoliła odejść von Bartzenowi!

Ta myśl upokorzyła Wirginję! Miała teraz wrażenie, że dopuściła się zdrady względem Godfreya. Dlaczego nie zatrzymała von Bartzena! Dlaczego straciła przytomność umysłu!

Nie miała wyobrażenia, co począć dalej. Przyproceedził ją tutaj Klaudjusz, za którym szła ślepo. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, i myśl, że ma sama szukać drogi w tym olbrzymim lesie, po którym błakali się kilka godzin, napawała ją trwogą.

Nie ruszała się z miejsca, łudząc się nadzieją, że Klaudjusz wróci po nią. Czekwała długo. Ręce i nogi zaczęły powoli drętwieć z zimna.

— Stać tu dłużej byłoby szaleństwem! — szepnęła sama do siebie.

(D. c. n.).